

MACIEJ JOŃCA, REINHARD ZIMMERMANN

Uniwersytet Szczeciński, Max-Planck-Institut für Ausländisches
und Internationales PrivatrechtISTNIEJE WIELE DRÓG
POZWALAJĄCYCH ZBLIŻYĆ SIĘ DO PRAWDY

Maciej Jońca¹: Jaka jest pańska opinia na temat koncepcji „prawnych przeszczerpów”, którą stworzył Alan Watson?

Reinhard Zimmermann²: Ach, Alan Watson i jego *legal transplants*... Spotkałem go kiedyś w RPA i zaprzyjaźniliśmy się. Jedną z jego książek

¹ Maciej Jońca – polski romanista i historyk sztuki. Ogłaszane sukcesywnie rozmowy z badaczami oraz popularyzatorami nauk o starożytności wydał w zbiorze *Personae-Res-Actiones. Rozmowy o prawie rzymskim i historii prawa* (Lublin 2021).

² Reinhard Zimmermann (ur. 1952) – niemiecki prawnik i nauczyciel akademicki. W latach 2002-2022 dyrektor Max-Planck-Institut für ausländisches und internationales Privatrecht z siedzibą w Hamburgu, a od roku 2011 przewodniczący Studienstiftung des deutschen Volkes. Absolwent wydziału prawa uniwersytetu w Hamburgu. W latach 1981-1988 kierownik Chair of Roman Law and Comparative Law na University of Cape Town (RPA). Po powrocie do Niemiec profesor zwyczajny na uniwersytecie w Regensburgu, a także wizytujący profesor m.in. na: University of Chicago, Tulane University, Cornell University, Universität Stellenbosch, University of Edinburgh, University of California, Berkeley, University of Auckland, Yale University, University of Cambridge oraz University of Oxford. Autor wielu opiniotwórczych publikacji. Jego badania koncentrują się na prawie zobowiązań oraz prawie spadkowym, które profesor poddaje analizie w ujęciu historycznym oraz prawno-porównawczym. Najbardziej rozpoznawanym dziełem Reinharda Zimmermanna jest monografia *The Law of Obligations: Roman Foundations of the Civilian Tradition* ukazująca wiele złożonych procesów, które wpłynęły na kształtowanie się współczesnych modeli stosunków zobowiązaniowych. Uwzględnił w niej nie tylko prawo rzymskie, lecz także przebogata

była moją inspiracją. Poświęcił ją idei *legal evolution*³. Co się zaś tyczy *legal transplants*, to rozumiem koncept, ale nie jestem jego wielbicielem. Uważam, że zamiast o prawnych przeszczepach, należy raczej mówić o organicznym rozwoju. Pojęcie *legal transplants* jest rozciągliwe i pojemne. Kiedy przyjrzymy się glosatorom, którzy na nowo odkryli prawo rzymskie, to zapewne będzie można powiedzieć, że dokonali pewnych przeszczepów instytucji antycznych do średniowiecza. Nie wydaje mi się jednak, by oni sami konceptualizowali swoje działania w taki sposób... Tak czy inaczej od średniowiecza można mówić już tylko o ograniczonym rozwoju. Mamy więc glosatorów, *usus modernus* (Bartolusa de Saxoferrato uważam za przedstawiciela już tego właśnie prądu) i tak dalej. Następnie, co obrazowo pokazuje Klaus Luig, nastąpiło rozszczepienie na prawo rzymsko-holenderskie, rzymsko-hiszpańskie, rzymsko-bawarskie itd. Kiedy pandektyści zapragnęli poskładać to wszystko od nowa i kiedy narodził się ruch kodyfikacyjny, podziały zaczęły przybierać charakter ideologiczny. Prawo rzymskie wciąż jednak oddziaływało. Dla mnie więc historia prawa rzymskiego jest historią jego organicznego rozwoju całości, a nie wybiórczej implantacji. Nie było tak, że wyciągano poszczególne instytucje w oderwaniu od innych i wkładano je tu lub ówdzie. Teoria Watsona wywołała jednak pewien rezonans w świecie nauki. Wie pan, jaki był jej najważniejszy skutek?

MJ: Nie jestem pewien...

RZ: Alan Watson opowiedział mi o tym pewnego razu. Otóż jego książka miała bardzo dobrą dystrybucję. Można ją było nabyć nawet w księgarniach dworcowych. W jednej z nich natknął się na nią jakiś bardzo zamożny lekarz, który kupił ją, gdyż pomyślał, że to dzieło poświęcone medycynie. Oczywiście Watson pisał o czymś zupełnie innym, ale ten człowiek zapoznał się z jego wywodami, po czym nawiązał

spuściznę średniowiecznej kanonistyki. Dzieło to zaliczono do grupy najbardziej wpływowych prac jurystycznych w XX wieku.

Zob. A. WATSON, *Legal Transplants: An Approach to Comparative Law*, Edinburgh 1974.

³ Zob. A. WATSON, *Society and Legal Change*, Edinburgh 1977; IDEM, *The Evolution of Western Private Law*, Baltimore 2001.

kontakt z autorem. Skończyło się na tym, że sfinansował przekład *Digestów* na angielski.

MJ: Niesamowite! Nie znałem tej historii...!

RZ: Podobno tak było (śmiech). W każdym razie Watson tak właśnie wyjaśnił mi, w jaki sposób zdobył pieniądze na przekład. Z angielskim przekładem *Digestów* wiążą się również inne osobliwości. Alan Watson stał za tym wszystkim, ale sam nie przetłumaczył nawet jednego fragmentu. Dlatego, kiedy zerkam na stronę tytułową dzieła i widzę triadę: Mommsen – Krüger – Watson, odczuwam coś w rodzaju... dyskomfortu (śmiech).

MJ: Być może koncepcje Alana Watsona są tak popularne przez to, że był to uczyony pewny siebie i mający o sobie dosyć wysokie mniemanie? Nie cytował chętnie innych badaczy...

RZ: To prawda. Alan Watson zawsze pracował na swój rachunek. Dochodziło przy tym do spięć i nieporozumień. Przypomina mi się nieszczęsny spór z profesorem Pierrem Legrandem, który wprost wypalił mu, że nie istnieją żadne prawne przeszczypty, co jest o tyle wątpliwe, że ważną rolę w tym oświadczeniu odegrała motywacja krytykującego. Legrand stylizuje się teraz na niezależnego eksperta i uważa, że przez podobne oświadczenia doprowadzi do sytuacji, w której każdy, kto pisze cokolwiek w duchu prawnoporównawczym, będzie musiał go cytować. Wiele lat temu poznałem go we Włoszech przy okazji realizacji *Trento Project*. To on mnie tam zaprosił. Wtedy mieliśmy bardzo dobry kontakt. Potem wpadł na to, by dokonać ciekawej autostylizacji. Stał się więc nie tylko wrogiem koncepcji, ale zaraz za tym również Alana Watsona, Christiana von Baara, Heina Kötza oraz naturalnie mnie.

MJ: Przykro mi.

RZ: I mnie przykro, ponieważ konflikty rodzą dalsze konflikty. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego niektórzy ludzie z uporem maniaka wmawiają sobie oraz światu, że jedynie ich metoda jest słuszna i prawdziwa. Uważam, że istnieje wiele dróg pozwalających zbliżyć się do prawdy. Można się ich od siebie nawzajem uczyć. Sam przyswoiłem sobie mnóstwo od innych. Wiele zawdzięczam na przykład Maxowi Kaserowi, którego w ogóle nie interesowała historia oddziaływania prawa rzymskiego

na późniejsze porządki prawne. Dowiedziałem się jednak od niego wiele na temat rzymskiego prawa klasycznego.

MJ: To bardzo odważne wyznanie jak na kogoś o pańskim statusie w środowisku prawniczym.

RZ: Dlaczego? We własnych badaniach przyjmowałem wybraną przez siebie perspektywę, ale zawsze zachowywałem też szacunek do tego, co robią inni. Tak właśnie powinno być! Istnieje wiele, niekiedy bardzo zróżnicowanych sposobów opracowania tego samego problemu. Mój przyjaciel, Wolfgang Ernst, pracuje zupełnie inaczej niż ja, a mimo to wiele rozmawiamy. Spotykamy się, by dyskutować, ale nie ma w tym żadnej pozy. Nie kreujemy napięć. Ze smutkiem muszę jednak przyznać, że zdaję sobie sprawę, iż nie jest to częste. Może to spadek po przeszłości? Był taki okres w Max Planck Institut, kiedy często zdarzało się, że odrzucano prace i pomysły przy pomocy argumentów w rodzaju: „to jest błędne”, „to jest zbędne” itp. To wprost okropne, kiedy po raz nie wiem który pojawia się kolejny mesjasz zwiastujący odkrycie prawdy i zarazem uznający wszystko pozostałe za fałsz.

MJ: Nie chcę potęgować pańskiego smutku, ale moim zdaniem niewiele można z tym zrobić. Proszę pozwolić, że zaśpiewam teraz moją starą piosenkę: środowisko romanistów powinno być jak drużyna rugby, w której do wygrania meczu potrzebny jest każdy.

RZ: To ciekawe, że wspominał pan akurat rugby. W Hamburgu raczej się w to nie gra. Dyscyplina ta nie jest również popularna w Niemczech, ale poznałem ją dobrze w RPA. Wszyscy moi studenci grali w rugby i bardzo to lubili. I wie pan co? W istocie tak jest, że w drużynie jest miejsce dla każdego i każdy musi zrobić swoją robotę, by drużyna mogła wygrać mecz. Skąd pan zna rugby?

MJ: W Lublinie jest niezła drużyna – „Budowlani Lublin”. Swego czasu chodziłem na mecze w towarzystwie profesorów Marka Kuryłowicza i Dariusza Słapka.

RZ: Gra pan?

MJ: Nie złożyło się, ale niczego nie wykluczam (śmiech). Do pańskiej opinii na temat środowiskowych sporów, którą podzielałam, chciałabym dodać mały załącznik. Wszystkie te feudalne wojny księstw zbudowane na teoriach ulepionych z pary uważam za dziecinadę. Lubię przy

podobnych okazjach przypominać opinię Hansa Hattenhauera, że spoczywa na nas ciężar dowodu. Jeżeli sami zachowujemy się niepoważnie, trudno oczekiwać, by osoby spoza środowiska okazywały nam szacunek.

RZ: Hansa Hattenhauera znałem dobrze i bardzo go ceniłem. Organizował w Seehendorf cykliczne spotkania niemieckich historyków prawa z północy. Kiedy wróciłem do Niemiec, natychmiast zaprosił mnie na jedno z nich. Wygłosiłem wtedy nad morzem wykład poświęcony prawu rzymsko-holenderskiemu. Był to uczony o niezwykle otwartym umyśle. Co się zaś tyczy zagrożeń czyhających na nasze dyscypliny, to uważam, że miał całkowitą rację. Stoję również na stanowisku, że nie powinniśmy pozwalać, by to inni narzucali nam swoje zdanie. W latach 70. i 80. XX wieku wielu było takich, którzy twierdzili: prawo rzymskie powinno się ograniczać do czasów antycznych i najlepiej, gdyby je wykładano na wydziałach historii. Opinie te wywołały reakcję łańcuchową, gdyż zaraz potem odezwali się profesorowie prawa współczesnego. Padły pytania w rodzaju: „Prawo rzymskie? A co to jest? Czemu to właściwie służy?”. Popularność zdobył stereotyp, że *ius Romanum* stanowi jedynie ornament w programie kształcenia prawników.

MJ: Nie, o ile splata się badania nad prawem rzymskim z refleksjami poświęconymi współczesnym porządkom prawnym.

RZ: W Niemczech romanści są zarazem dogmatykami, a jednak wciąż należy przypominać kolegom badającym prawa współczesne, że *ius Romanum* też jest potrzebne. Problem dostrzegam również gdzie indziej. Otóż wielu romanistów nie interesuje się współczesnym prawem prywatnym. Efekt tego jest taki, że ich wykłady są słabe, bowiem koncentrują się wyłącznie na prawie rzymskim i historii prawa. Mają spore trudności, by wytłumaczyć młodym ludziom, że uczą ich czegoś przydatnego. To nie pomaga prawu rzymskiemu na uniwersyteckich wydziałach jurystycznych. Kiedy więc pojawia się jakiś kryzys, a w związku z nim ktoś zadaje pytanie: „Czy warto utrzymywać dalej prawo rzymskie?“, nierzadko zdarza się, że odpowiedź brzmi: „Nie, lepiej postawmy na prawo handlowe”.

MJ: Jak wygląda komunikacja pomiędzy romanistami i historykami prawa w Niemczech?

RZ: Zacznę od tego, że oddzielanie historii prawa od prawa rzymskiego jest błędem. Prawo rzymskie powinno być badane jako historia prawa. Nie jest tajemnicą, że niemieccy historycy prawa przez dłuższy czas nie potrafili przekonać otoczenia, jak ważna jest ich dyscyplina. Chciałbym to zmienić. Czuję, że to moja misja i zarazem powołanie. Od początku bardzo interesowały mnie zagraniczne porządki prawne, ich historia i tradycja. Niezwykle ważna jest umiejętność właściwej oceny cudzych doświadczeń z historycznej perspektywy. Za równie istotną uważam perspektywę historyczno-porównawczą dla naszego rodzimego prawa. Pozwala nam ona lepiej je zrozumieć. Kiedy student uczy się wyłącznie prawa niemieckiego, myśli o nim jak o prawie naturalnym. Uważa, że jest ono niezmiennie i że musi takie być. Dzięki perspektywie historycznej jest natomiast w stanie pojąć, że prawo niemieckie stanowi jedynie część większego europejskiego systemu. Wtedy zaczyna się inne rozumowanie.

MJ: Och, ale jak tego dokonać? W Polsce romaniści i historycy prawa nieustannie skarżą się na to, że ich wykłady są regularnie okrajane. Brakuje czasu.

RZ: Nie można przesadzać, to naturalne. Nie ma więc sensu nasycać wykładu poświęconego BGB bezmyślnymi dygresjami natury historyczno-prawnej, ale warto w sposób mądry odnosić się do historii oraz wskazywać alternatywne rozwiązania. Jeżeli wykład jest dobrze przygotowany, nie zajmuje to dużo czasu. Dobrzy studenci zawsze życzliwie reagują na takie ujęcie. „To interesujące!” – słyszałem niejednokrotnie. Korzyści były i są długofalowe, gdyż ci ludzie pojawiali i pojawiają się następnie na seminariach, część z nich wybiera drogę naukową, a część stała się nawet moimi współpracownikami i wciąż mamy znakomity kontakt.

MJ: Wielu było takich?

RZ: Szacuję, że z grupy czterystu osób, dla której prowadziłem wykład w Regensburgu, średnio przychodziło do mnie jakieś osiemdziesiąt osób. Zdarzało się jednak również, że liczba ta była mniejsza. Pamiętam lata, w których pojawiała się pięćdziesięciu chętnych. Inni uważali, że skoro wykładany przez mnie materiał nie przyda im się na egzaminach państwowych, to nie ma sensu marnować energii.

MJ: Ależ pięćdziesiąt osób to znakomity wynik! To wręcz imponująca liczba!

RZ: Zgadzam się. Coś tam pewnie ode mnie wyniosło również wielu z tych, którzy nie trafili potem do mnie. Podczas zajęć widziałem, że zagadnienia, które z nimi omawiałem, interesowały ich. Rozpoczęli następnie swoją przygodę z różnymi gałęziami prawa współczesnego.

MJ: Zanim Kaius Tuori opublikował swój zbiór *Roman Law and the Idea of Europe*⁴, pan profesor zaskoczył wszystkich monumentalnym opracowaniem *Jurists Uprooted – German-Speaking Emigré Lawyers in Twentieth Century Britain*⁵. Korzystałem z niego (dokładnie zapoznałem się z częścią poświęconą wojennym perypetiom Fritza Schultza) i uważam, że jest znakomite. Wszelako tematyka niemieckich prawników-uchodźców jest dosyć odległa od *ius commune*, europejskiej tradycji prawnej i wszystkiego, czym się pan wcześniej zajmował. Jaka jest historia powstania tej monografii?

RZ: Miałem ogromne szczęście. Przez rok pracowałem w Cambridge jako A.L. Goodhart Professor of Legal Science w Cambridge. Rodzina Goodhart stworzyła fundację, która co roku zaprasza na miejscowy wydział prawa jednego z uczonych zagranicznych. Na ten czas staje się on członkiem wydziału, zostaje mu przydzielony college itd. Trafiłem do St. Johns College. Nie w college'u, ale już na wydziale poznałem Kurta Lipsteina. Był to ostatni żyjący przedstawiciel pokolenia inteligencji, którą w książce określiliśmy jako *jurists uprooted*. Kiedy nawiązałem z nim kontakt, miał 82 lata. Niewiele wcześniej zmarła mu żona, przeto czuł się bardzo samotny. Spotykaliśmy się często. Zapraszałem go chętnie do siebie do domu, a on opowiadał. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem nie tylko o tym, co przeżył on sam, ale również inni. Raz po raz w jego opowieściach przewijały się wielkie nazwiska, które ja znałem jedynie z publikacji: Frederick Alexander Mann, Hersch Lauterpacht itd. Nigdy wcześniej nie myślałem o nich jako uchodźcach. Nie zastanawiałem się, jak to się stało, że trafili do Anglii. Tymczasem

⁴ *Roman Law and the Idea of Europe*, red. K. TUORI, H. BJÖRKLUND, Oxford 2019.

⁵ *Jurists Uprooted – German-Speaking Emigré Lawyers in Twentieth Century Britain*, red. J. BEATSON, R. ZIMMERMANN, Oxford 2004.

Kurt Lipstein swobodnym tonem opowiadał mi o swoich codziennych relacjach z nimi. Wtedy wpadłem na pewien pomysł. Miałem stanowisko naukowe w Cambridge, oczekiwano wymiernych efektów mojego pobytu w Anglii. Zacząłem więc zachęcać Kurta Lipsteina, by napisał książkę. Skończyło się na tym, że skomponował małe studium o charakterze autobiograficznym. Szkoda mi było jednak na tym poprzestać. Wiadomości, jakie przekazywał mi Kurt Lipstein, na bieżąco dyskutowałem z Jackiem Beatsonem (w późniejszym czasie został sędzią, ale wtedy wykładał w Cambridge prawo angielskie). Ponieważ Jack miał pochodzenie żydowskie, w naturalny sposób jemu również tematyka ta wydała się bardzo interesująca. Zdecydowaliśmy, że wspólnie zrobimy coś większego. Chciałem, żeby ta praca pozostała spuścizną po moim pobycie w Cambridge. Dalej poszło już szybko, ponieważ obaj mieliśmy szerokie kontakty. Zebraliśmy zespół, do którego włączyłem Wolfganga Ernsta. To on, jak pan wie, jest autorem rozdziału o Schultzu (uważam, że to najlepsza część książki). On tymczasem skłonił do współpracy z nami Tony'ego Honoré, który był wtedy członkiem Trinity College w Oksfordzie.

MJ: Praca powstała więc w Wielkiej Brytanii.

RZ: Nie tylko. Po moim powrocie do Regensburga zespół nadal pracował, gdyż materiał był potężny. Bardzo się wszyscy wciągnęliśmy. Ja napisałem rozdział wprowadzający, w którym podjąłem próbę ukazania tła historycznego dla poszczególnych życiorysów. Chciałem opowiedzieć o tym, jak to było w Niemczech z żydowskimi profesorami, jak to było z prawem rzymskim i jak to się stało, że część z tych ludzi zdecydowała się na emigrację. Włożyłem w te badania wiele serca. Kiedy książka się ukazała, jej prezentacja odbyła się w British Academy. Przed oczyma wciąż staje mi następujący obraz: Kurt Lipstein, Peter Stein oraz Tony Honoré siedzą obok siebie. Żałuję, że nie zrobiłem wtedy zdjęcia. Byli wielkimi ludźmi, których wkład w powstanie naszego dzieła był olbrzymi. Teraz wszyscy już nie żyją... Tony Honoré zmarł przed dwoma laty. Był Południowoafrykańczykiem. Republika Południowej Afryki po raz kolejny okazała się dla mnie łącznikiem, gdyż kraj ten i moje w nim doświadczenia zbliżyły mnie do tego człowieka. Rozdział, który dla nas napisał, również uważam za bardzo interesujący.

MJ: Współredagował pan obszerne studium zatytułowane *Digest of European Tort Law*⁶. To wiele znaczący tytuł. Wierzy pan, że prawo rzymskie może odegrać jeszcze jakąś praktyczną rolę we współczesnym świecie?

RZ: Mam taką nadzieję i wierzę w to głęboko. W swoich pracach staram się przekonać do tej idei kolegów zajmujących się prawem współczesnym. Ukazuję im historyczne tło współczesnych regulacji oraz podejmuję próbę wyjaśnienia, na czym polega doniosłość prawa rzymskiego. To dobra okazja, by wrócić do poruszonego już wyżej wątku. Uważam za wielki błąd, kiedy ktoś odwraca się od prawa współczesnego, aby zajmować się wyłącznie regulacjami starożytnych. Skoro chcemy pokazywać otoczeniu, że nasze badania są relewantne i wartościowe, należy je odnosić do prawa współczesnego. Pracujemy w końcu na wydziałach prawa. Nikt nam nie każe rezygnować z historii, ale warto się trochę wysilić. W *Commentaries of European Contract Law* sięgamy bardzo daleko, bo aż do prawa rzymskiego, a przecież to praca poświęcona współczesnemu europejskiemu prawu umów. Mnie jednak bardzo interesuje zarówno problem jego unifikacji, jak i pokazanie wspólnych korzeni tego prawa, do których można by się obecnie odwołać.

MJ: Pańskim zdaniem dojdzie do stworzenia jednego i powszechnie obowiązującego w Unii Europejskiej prawa umów?

RZ: Takie właśnie rozwiązanie zaproponowałem Komisji Europejskiej. Powstało mnóstwo prac przygotowujących grunt pod tę zmianę, z których najważniejsza jest chyba *Common Frame of Reference*. Wszystko nieźle więc zaplanowano. Zrobiono zresztą więcej, bo opracowano również prawo deliktowe oraz część prawa rzeczowego (przepisy związane z prawem własności). W roku 2011 Komisja Europejska opublikowała projekt *Common European Sales Law*, który miał jednak mnóstwo braków. Kierowałem wówczas małą grupą roboczą, więc w ekspresowym trybie zajęliśmy wobec niego krytyczne stanowisko. Podkreśliliśmy, że przy opracowywaniu wspólnego prawa europejskiego

⁶ *Digest of European Tort Law, I: Essential Cases on Natural Causation*, red. B. WINIGER, H. KOZIOL, B.A. KOCH, R. ZIMMERMANN, Wien 2007; *Digest of European Tort Law, t. II: Essential Cases on Damage*, red. B. WINIGER, H. KOZIOL, B.A. KOCH, R. ZIMMERMANN, Berlin-Boston 2011.

nie można ignorować tego, co jest dobre w prawach krajowych, należy unikać pozostawiania luk, zwrócić uwagę na poprawną systematykę itd. W przypadku tego projektu stało się niestety inaczej i w roku 2015 Komisja Europejska go wycofała. Obecnie sprawy mają się tak, że projekt europejskiego prawa umów nie będzie dalej procedowany. W książce naszej staramy się dokonać pewnego podsumowania dotychczasowych działań. Spojrzeliśmy w niej na to, czego udało się dokonać. Kiedyś (możliwe, że za dziesięć lat) problem unifikacji prawa umów znowu wypłynie. Nie może przecież tak być, że mamy obszar wspólnoty gospodarczej, a obok tego krajowe prawa regulujące obrót gospodarczy, które nie są ze sobą zsynchronizowane. Przede wszystkim w poszczególnych państwach obowiązują różne zasady. Byłoby więc o wiele lepiej, gdyby istniało jednolite prawo umów. W *Commentaries* staraliśmy się również wskazać kierunek przyszłych poczynań. Stworzyliśmy punkt wyjścia, od którego będzie można zacząć, kiedy temat harmonizacji prawa europejskiego powróci. Wierzę, że do tego kiedyś dojdzie, chociaż dziś trudno prognozować kiedy.

MJ: Czy prace zatrzymano zupełnie czy też są one kontynuowane?

RZ: Być może coś tam się dzieje... Wie pan, w ostatnich latach wiele i intensywnie zajmowałem się europejskim prawem umów, ale obecny stan rzeczy, to znaczy cyfrowe wytyczne i tendencja do sztucznego ujednolicania wszystkiego... To mnie nie interesuje.

MJ: Czym więc zajmuje się pan teraz?

RZ: Poświęciłem się prawu spadkowemu. Należę do międzynarodowej grupy roboczej, która opracowała projekt wspólnotowego prawa spadkowego. Ogłosiliśmy dotychczas trzy tomy studiów zebranych w serii pod tytułem *Comparative Succession Law*. Wydano je w Oxford University Press. W tym roku ukazała się część ostatnia: *Mandatory Family Protection*. Sugestia, którą tam zawarłem, opiera się na omawianym wcześniej cytacie z Biblii. W Instytucie również powołano grupę, która stworzyła projekt reformy dla Niemiec. Wyniki jej prac zostaną wkrótce upublicznione w naukowej monografii.

MJ: Wszystko to brzmi bardzo „pozytywistycznie”, gratuluje! Spytałem przy tej okazji o pański nieformalny przydomek. Niekiedy jest pan profesor bowiem określany mianem neopandektysty. To trafne określenie?

RZ: Szczerze mówiąc, nie podoba mi się ten przydomek, gdyż jego autorzy posłużyli się nim wobec mnie w sensie negatywnym. Nie uważam, że ich krytyka była uzasadniona.

MJ: W Polsce pojęcie „neopandektysta” nie ma negatywnego wydźwięku. Powiedziałbym nawet, że to raczej komplement i to niebanalny.

RZ: Doprawdy? Moi przyjaciele też mnie przekonywali, że to jednak komplement...

MJ: Dla mnie bez wątplenia.

RZ: W takim razie dopowiem jeszcze, że Bernhard Windscheid, największy pandektysta, jest dla mnie wzorem. To jedna z najwspanialszych figur niemieckiej jurysprudencji. Bardzo podziwiam zarówno jego, jak i jego *Lehrbuch der Pandekten*. Kiedy o tym teraz myślę, dochodzę do wniosku, że rzeczywiście w określonym kontekście przydomek „neopandektysta” można odbierać w sposób pozytywny. W zamierzeniu jego twórcy, a jest nim profesor Pio Caroni, miał to być jednak przytyk... Mój oponent zarzucał mi, że chciałem dopasować prawo rzymskie do współczesności i że moim celem jest ponowne przywrócenie mu mocy powszechnie obowiązującej. Tyle że ja wcale tego nie chcę! To zupełnie niezrozumiała dla mnie sytuacja, gdyż przypisuje mi się intencje zupełnie sprzeczne z moimi metodami badawczymi. Nie biorę rzymskich źródeł, aby następnie stwierdzić: o, ta regulacja mogłaby obowiązywać również dziś. Podkreślam natomiast, że w procesie prawotwórczym należy mieć wzgląd na tradycję, a początek naszej tradycji wyznacza prawo rzymskie. Na źródłach należy pracować, a przede wszystkim należy je znać, aby móc dokonywać trafnej oceny prawa współczesnego w kontekście prawno-porównawczym. W wielu moich pracach zadałem sobie trud, by pokazać, że rzymskich rozwiązań nie da się utrzymać i że należy od nich odejść, uwolnić się od nich wreszcie. Zmieniły się stosunki społeczne, więc częstokroć musimy konfrontować się z zupełnie nowymi i nieznanymi wcześniej problemami. Zrozumienie tego może się do czegokolwiek przydać jedynie wtedy, kiedy zna się prawo rzymskie i potrafi na nie spojrzeć w społecznym kontekście jego rozwoju. Kiedy zaś zauważymy, że kontekst się zmienił, możemy przystąpić do poszukiwania lepszych rozwiązań. Nie jest więc tak, że twierdzę, iż

prawo rzymskie należy transplantować w całości, ponieważ nie zawsze zgadzam się z pomysłami Rzymian.

MJ: Jak brzmi pańska recepta?

RZ: Jestem za kontestualizacją rzymskich idei. Jeżeli ktoś odwraca się od regulacji starożytnych, powinien to czynić świadomie. Należy brać przy tym pod uwagę bieżące okoliczności natury gospodarczej, kulturalnej, socjalnej itd. Zdarza się, że rozwiązania rzymskie od dawna już do nich nie pasują. Na przykład w Niemczech potrącenie wywołuje skutki z mocą wsteczną. Działa to tak: kiedy mam roszczenie wobec pana, a pan wobec mnie, następuje kompensacja z mocą wsteczną. Mamy więc do czynienia nie z działaniem *ex nunc*, ale *ex tunc*. Stan taki uważa się za oczywistość. W Komisji Lando byłem odpowiedzialny za opracowanie konstrukcji potrącenia. Przyjrzałem się jej z perspektywy komparatystycznej i prawno-porównawczej, po czym zadałem sobie pytanie: dlaczego właściwie mamy tu do czynienia z działaniem *ex tunc*? Przecież to niepotrzebna komplikacja. Następnie zerknąłem do źródeł rzymskich. W antycznym Rzymie rozwiązanie to miało swoje bardzo konkretne uzasadnienie. Zgodnie ze źródłami rzymskimi potrącenie następuje *ipso iure*, a nie na skutek złożenia oświadczenia o potrąceniu. Temat ten zbadał mój uczeń Pascal Pichonnaz. Materiałów zebrało się tyle, że zrobił z tego habilitację we Fryburgu Bryzgowijskim. W swojej monografii pokazał, że źródła rzymskie zostały źle zrozumiane. Jurysta, który posłużył się wyrażeniem *ipso iure* w kontekście potrącenia, pragnął osiągnąć zupełnie inny cel, a teraz wszyscy myślą, że regulacja z BGB ma korzenie rzymskie, choć w istocie tak nie jest. Jako członek komisji Lando zaproponowałem, by skutki potrącenia następowały *ex nunc*. Moi koledzy zareagowali przychylnie. „To właściwie bardzo przekonujące” – orzekli. Dlatego kompensacja w *Principles of European Contract Law* wygląda inaczej niż w BGB. Nie potrafiłbym tak dobrze uzasadnić mojego pomysłu, gdyby nie spojrzenie na historię.

MJ: Podobną postawę da się zauważyć wśród niektórych członków polskiej Komisji Kodyfikacyjnej pracującej w latach 20. i 30. XX wieku. Polacy zamierzali dokonać kodyfikacji całego prawa prywatnego, ale kompleksowo udało się opracować jedynie zobowiązania. Jeden z członków komisji, Roman Longchamps de Bérier, wyjaśniał potem, że źródłem

sukcesu było uznanie prawa rzymskiego za punkt wyjścia do dalszych poszukiwań.

RZ: W pełni się zgadzam i podzielam ten punkt widzenia.

MJ: Jakie są główne cele Instytutu Maxa Plancka?

RZ: Nasz Instytut założono jako jednostkę, która ma prowadzić badania nad prawem prywatnym. Ernst Rabel przewidział tu jednak historyczne komponenty, jako że również w nim samym dokonała się na przestrzeni lat ważna zmiana: z historyka prawa stał się komparatystą. Drugim obszarem jest prawo prywatne międzynarodowe. W latach 70. XX wieku stworzono trzecie stanowisko dyrektorskie, które objęło badania nad międzynarodowym prawem handlowym. Można więc powiedzieć, że dotychczas Instytut opierał się na trzech filarach. Pierwotnie poszczególne instytuty Maxa Plancka były jednostkami posiadającymi jednego dyrektora. Kiedy pod koniec lat 70. XX wieku Konrad Zweigert przeszedł na emeryturę, nastąpiła nowa epoka i zaczęto powoływać większą liczbę dyrektorów. Wprowadzono zasadę kolegalności. Obecnie trzech dyrektorzy Instytutu to: Ralf Michaels, Holger Fleischer oraz ja.

MJ: Wszystko działa bez zarzutu?

RZ: Tak, chociaż przede mną przynajmniej jeszcze jedno ważne wyzwanie. W przyszłym roku przechodzę na emeryturę⁷ i trzeba będzie znaleźć następcę na moje miejsce. Powinien to być ktoś zajmujący się komparatystyką prawniczą i badający różne gałęzie prawa prywatnego. Dobrze byłoby, gdyby miał przy tym jakąś szerszą perspektywę: historyczną, socjologiczną, ekonomiczną. Nie jest to oczywiście wymóg, raczej pewne oczekiwanie. Ucieszyłbym się, gdyby mógł mnie zastąpić ktoś ze słabością do historii. Mój kolega, Holger Fleischer, zajmuje się prawem handlowym w ujęciu porównawczym. Ralfa Michaelsa zajmuje

⁷ Ceremonia pożegnania Reinharda Zimmermanna w związku z ustąpieniem przezeń ze stanowiska dyrektorskiego (*Symposium und Festakt anlässlich der Emeritierung von Reinhard Zimmermann*) odbyła się w Max-Planck-Institut für ausländisches und internationales Privatrecht w Hamburgu w dniach 13 i 14 października. Profesorowi wręczono księgę jubileuszową: *Iurium itinera. Historische Rechtsvergleichung und vergleichende Rechtsgeschichte/Historical Comparative Law and Comparative Legal History. Reinhard Zimmermann zum 70. Geburtstag am 10. Oktober 2022*, red. N. JANSEN, S. MEIER, Tübingen 2022.

prawo porównawcze postkolonialne. Chciałby „dekolonializować” tradycyjny europejski model komparatystyki prawniczej, ponieważ jego zdaniem europejskie spojrzenie na prawo oddziałuje na pozaeuropejskie procesy dekolonializacyjne. Rozwija program, w którym zestawia pozaeuropejskie porządki prawne. Zwykle miewam w związku z jego pracą wiele pytań, więc dochodzi do ciekawych debat. Myślę, że prezentuje on interesujące nowe podejście, ale zarazem uważam, że tradycyjny model uprawiania komparatystyki prawa prywatnego musi pozostać tu jednym z głównych kierunków badawczych i mam nadzieję, że tak będzie.

MJ: A jakie są pana plany osobiste?

RZ: Naturalnie, pracuję i będę pracował nadal. Przez ostatnie dziesięć lat wiele czasu poświęciłem *Max Planck Gesellschaft*. Ponieważ przedłużono mi tu umowę o kolejne trzy lata, zamierzam kierować jakąś grupą badawczą, ale może bardziej kameralną niż dotychczasowe. Mam też kilku habilitantów (m.in. p. Bena Gerrita Köhlera, którego pan poznał) oraz doktorantów, za których czuję się odpowiedzialny.

MJ: Zamierza pan rozwijać dotychczasowe kierunki czy też ma pan plan, by skupić się na czymś nowym?

RZ: Bardzo atrakcyjnym obszarem badawczym stało się dla mnie prawo spadkowe. Różni się ono mocno od prawa umów, gdyż opracowano je w niewielkim stopniu. Warto lepiej mu się przyjrzeć z perspektywy prawnoporównawczej. To zadziwiające, jak wiele jest tu jeszcze do zrobienia! Rozglądam się i wciąż widzę, jak to mawiają Anglicy, *virgin territory*. Ponieważ na temat prawa spadkowego napisano mało, da się tworzyć prace ciekawe i – co najważniejsze – nowe. Dla mnie to miła odskocznia od prawa umów, którym zajmowałem się sporo i które ma wyjątkowo bogatą literaturę.

MJ: Czyżby definitywny odwrót od umów...?

RZ: Ależ skąd! Umów nigdy nie zostawię (śmiech). Obecnie jednak najbardziej interesują mnie projekty związane z prawem spadkowym oraz historyczno-krytyczne komentarze. Tematem, który chcielibyśmy w najbliższym czasie opracować w międzynarodowym zespole badawczym, jest pytanie, w jaki sposób rozwijało się przez wieki pojęcie spadku. Mam tu ucznia, który napisał na ten temat fantastyczną rozprawę habilitacyjną. To Jan Peter Schmidt. Monografia jego autorstwa

ukaze się drukiem w najbliższych tygodniach. Praca naszej grupy skupi się na rozwinięciu niektórych wątków tam wskazanych. Oto moja bieżąca perspektywa.

MJ: Uprawianie nauki, choć daje wiele satysfakcji, nie jest lekkim kawałkiem chleba. Ma pan jakieś rady dla nowicjuszy bądź dla tych, którzy dopiero rozważają wstąpienie na tę grząską ścieżkę.

RZ: Przede wszystkim odradzałbym uprawianie nauki tym, dla których życiowym priorytetem są pieniądze. Jeżeli ktoś jest zdolny, świetnie sobie radzi na studiach i jednocześnie chce dobrze zarobić, niech raczej szuka szczęścia w praktyce. Wykonując zawód adwokata, można zarabiać zawrotne sumy. Dochody adwokatów są o wiele wyższe niż notariuszy czy prokuratorów. Mówię o tym bez żółci, gdyż wiem, że chęć poprawienia swojej sytuacji materialnej jest częstą motywacją towarzyszącą młodym ludziom studiującym prawo. Wielu z nich pisze świetne prace o charakterze teoretycznym, a następnie chce się sprawdzić na rynku. Jako adwokaci pracują na okrągło, ale też świetnie zarabiają. Sędziowie i urzędnicy państwowi pobierają o wiele niższe wynagrodzenia, ale mają więcej czasu. Profesje te uważam za *familienfrendlich*. W tym miejscu dochodzimy do naukowców: pracują cały czas i zarabiają najgorzej (śmiech). Trzeba więc mieć „to coś”, co nazywamy pasją, prawdziwym *engagement*. Pozwoliłem sobie tu na ironię i lekką przesadę. Niemieccy profesorowie wcale nie mają aż tak źle. Wielu moich włoskich kolegów-profesorów wykonuje jednocześnie zawód adwokata, aby związać koniec z końcem. Prowadzi to do tego, że są niezwykle rozproszeni. Nie mogą się w pełni skoncentrować na życiu akademickim.

MJ: Może istnieje jakiś złoty środek?

RZ: Zapewne istnieje, ale jednego jestem pewien. Doświadczenia życiowe utwierdziły mnie w przekonaniu, że podjęcie decyzji o poświęceniu się nauce z powodów finansowych nie ma sensu. Dlatego młodych ludzi, którzy świadomie wybrali tę drogę, należy wspierać. Jako przewodniczący Studienstiftung des Deutschen Volkes miałem przywilej poznania wielu niezwykle utalentowanych młodych osób. Oni nie przychodzą do nas jednak wyłącznie po pieniądze. Ogromnie cieszę mnie fakt, że wielu z nich interesuje się historią w taki sposób, w jaki ja sam kiedyś się nią interesowałem. Jeżeli mieszka w nich ten sam niespokojny duch, interesują się również światem. Wyjeżdżają,

żeby studiować, zdobywają nowe doświadczenia. Przez to rozwija się w nich również zainteresowanie prawem zagranicznym. Im nie trzeba wyjaśniać, że warto podróżować, nawiązywać nowe kontakty itd. Niekiedy wystarczy ich lekko ukierunkować. Innym razem to zamiłowanie należy w nich obudzić.

MJ: Jak to zrobić?

RZ: Zawsze powtarzam studentom i moim uczniom: róbcie to, co was naprawdę interesuje! Jeżeli pasjonujecie się historią prawa i komparatystyką prawniczą (ze swej strony robię wszystko, by ich tym zainteresować), zajmujcie się właśnie tym! Nie ma tu miejsca na wielkie strategie i kalkulowanie, co się komu bardziej opłaci. Uważam, że kiedy robi się coś z entuzjazmem i wkłada się w swoją pracę serce, wcześniej czy później znajdzie się jakaś posada. Dobry Bóg pomoże takiej osobie wieść żywot spełniony. A to najważniejsze! Człowiek nauki przystępuje do pracy wciąż na nowo, gdyż za każdym razem najpierw dostrzega coś interesującego, po czym myśli sobie: chętnie dowiedziałbym się więcej na ten temat, chętnie napisałbym coś o tym.

MJ: Kiedy tego wszystkiego słucham, jestem bliski uwierzenia, że wszystko to jest naprawdę proste...

RZ: Nie wszystko jest łatwe i nie wszystko przychodzi od razu. Trzeba pamiętać o osobistym przykładzie. Wiele nauczyłem się od moich mistrzów i sam również nigdy nie zapominam, że jako profesor muszę dawać świadectwo. I to akurat są rzeczy proste. Wiem, że powinienem znajdować czas, aby jeść obiady ze współpracownikami, a raz na jakiś czas spotkać się z nimi po południu w swobodnej atmosferze. Warto chwilę zatrzymać się i pogwarzyć podczas spotkania na korytarzu. Raz w tygodniu mamy godzinę wspólnych konsultacji, podczas których omawiamy zagadnienia prawnicze, dyskutujemy o nowych tematach badawczych, a także o pomysłach na doktoraty i habilitacje. Chodzi o to, by ludzie wiedzieli między sobą, czym się kto zajmuje, i wspierali się nawzajem. Czytam wiele czasopism i za każdym razem, kiedy zobaczę coś, co mogłoby się przydać któremuś z moich współpracowników, wysyłam im. Identycznie oni zachowują się wobec mnie i między sobą. Kolejna ważna sprawa: jestem członkiem Instytutu, więc swoją pracę wykonuję w Instytucie. Moi współpracownicy widzą, że jestem na miejscu i że

pracuję. Wierzę, że taki przykład dobrze na nich wpływa. To w gruncie rzeczy *learning by doing*. Przez stały kontakt oraz dialog, który z nimi prowadzę, nie czują się samotni czy też pozostawieni sami sobie. Jestem zawsze dla nich. Służę radą, opowiadam o tym, czym się właśnie zajmuję. Dzielę się z nimi nawet moimi przemyśleniami i przeżyciami. Wszystko to w nadziei, że znajdą w nich jakąś inspirację dla siebie.

MJ: Czy ta metoda się sprawdza?

RZ: Tak. W przeszłości miałem wiele szczęścia, gdyż otaczali mnie dobrzy współpracownicy. Wielu z nich kieruje obecnie własnymi katedrami na uniwersytetach. Można powiedzieć, że z czasem staliśmy się małą naukową rodziną. Moi wychowankowie mają obecnie swoich uczniów, co stawia mnie na pozycji akademickiego dziadka. Swego czasu napisaliśmy książkę na temat specyficznego rodzaju literatury prawniczej, jakim są komentarze. Wzięły w nim udział praktycznie trzy generacje badaczy. Byłem jednym z redaktorów tego zbioru. Obok mnie na stronie głównej figuruje mój uczeń Nils Jansen oraz jego uczeń David Kästle-Lamparter. Z Nilsem Jansenem oraz Sonją Meier raz do roku spotykam się na seminarium. Biorą w nim udział także nasi współpracownicy, pojawiają się studenci. Wędrujemy wówczas razem po górach, sporo rozmawiamy na temat naszych bieżących badań, zwierzamy się sobie z planowanych projektów itd. Bardzo się cieszę, że moi uczniowie dobrze dogadują się również między sobą. W następnym roku będziemy obchodzić okrągłą rocznicę naszych spotkań. Zaproszę wtedy wszystkich. Ostatnio widzieliśmy się w Alpach. Nie każdy mógł wprawdzie przyjechać, ale zebrało się osiemdziesiąt osób. Widok tego, w jaki sposób oni między sobą rozmawiają i porozumiewają się ze sobą, działa na mnie kojąco. Jeden mówi: „Robię to”, drugi na to: „A ja tamto”, po czym włącza się trzeci: „Interesujące! Może zrobimy coś razem?”. Przyglądam się temu z rozkoszą i cieszę się, że wszyscy oni rozwinęli się na swój własny sposób. Jeden zajmuje się procesem cywilnym, inny prawem prywatnym międzynarodowym, a jeszcze inny historią prawa. Wszyscy jednak rozumieją, jak ważna jest perspektywa porównawcza. To nas łączy.

MJ: Duch tego rodzaju badań przenika również miejsce, w którym się znajdujemy.

RZ: Coś w tym jest.

MJ: Jestem panu bardzo wdzięczny za tę rozmowę. Pan wie, że nie przygotowywałem się do niej, byłem skłonny zrezygnować... Cieszę się ogromnie, że stało się inaczej. Od stołu, przy którym siedzimy, wstaję lepszy, dziękuję.

1 listopada 2021 roku w Max-Planck-Instituts für Ausländisches
und Internationales Privatrecht
po obiedzie wysłuchał Maciej Jońca